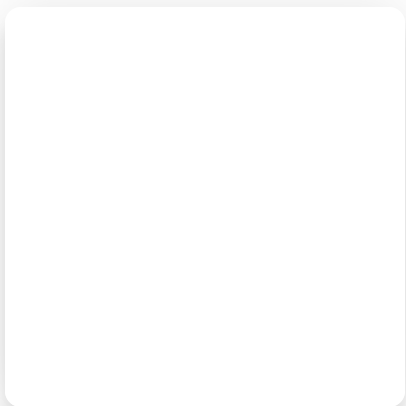


## Ryszard Legutko: Wstęp do „Pochwały państwa narodowego” Yorama Hazony'ego [AUDIO]

Obrońcy dzisiejszego imperializmu czy federalizmu twierdzą, że słabnięcie więzi narodowych oraz religijnych jest czymś w rodzaju pozbycia się sztucznych kostiumów, po którym następuje wejście w świat ludzi wolnych swobodnie dysponującymi swoimi prawami, świat prawdziwej niczym nie skrepowanej różnorodności. W istocie jednak oznacza to wielkie ujednoczenie. Narody i religie czyniły świat bogatym, pełnym odmienności, czerpiącym obficie z ludzkiego doświadczenia zgromadzonego w dziejach – pisze Ryszard Legutko we wstępie do książki „Pochwała państwa narodowego” Yorama Hazony'ego. Zachęcamy do wsparcia naszej zbiorki.



**„Pochwała państwa narodow**

· Podcasty Teologii Politycznej

Trwa właśnie zbiórka na wydanie książki „Pochwała państwa narodowego” Yorama Hazony'ego. Dołącz do grona Darczyńców!

Lektura książki Yorama Hazony'ego jest niczym oddech świeżego powietrza. W czasach, kiedy jednym z kluczowych elementów ortodoksji obejmującej praktycznie cały świat zachodni stało się prychanie na pojęcie narodu i potępienie nacjonalizmu, Hazony podjął się bezkompromisowej obrony jednego i drugiego. A ponieważ dzisiejsza ortodoksja jest agresywna i nachalna, obecna wszędzie, w niemal całej przestrzeni publicznej, a przenikająca również do sfer niepublicznych, usłyszenie głosu dystansującego się od owego dogmatyzmu jest czymś niezmiernie odświeżającym.

Pojęcia nacjonalizmu używa autor w sensie klasycznym, to znaczy wywodzącym się jeszcze ze starożytności grecko-rzymskiej oraz Starego Testamentu, a mówiącym o obiektywnej granicy rozszerzania organizmu politycznego. Jest to argument, który znajdujemy u Platona, a przede wszystkim u Arystotelesa. Wspólnota polityczna – mówili mędrcy – nie może się rozszerzać w nieskończoność, lecz ma granice wynikające nie tylko z funkcjonalności, lecz przede wszystkim z mocnych historycznych korzeni takich jak język, religia, wspólne dziedzictwo. Ten pogląd (zdroworozsądkowy, jak mogłoby się wydawać) jest w nowożytności kontestowany w oparciu o uniwersalistyczne hasła braterstwa ludzkości.

W doktrynach takich jak marksizm czy liberalizm istnieje więc tendencja do poszerzania owych granic porządku politycznego praktycznie bez końca, które w śmielszych konstatacjach ma obejmować całą ludzkość.

Czytając tę książkę, trzeba pamiętać o takim klasycznym rozumieniu nacjonalizmu. W szerokim obiegu funkcjonuje bowiem pojęcie inne, skrajnie negatywnie wartościujące, a przypisujące nacjonalizmowi biologizm, radykalny ekskluzywizm, pogardę dla innych i tym podobne niemiłe cechy. Takie użycie tego pojęcia rozpowszechniło się na tyle, że stało się ono nie tylko inwektywą stosowaną wobec przeciwników, lecz inwektywą na tyle dosadną, że praktycznie uniemożliwiającą dzisiaj sensowną rozmowę na temat narodu, tożsamości narodowej i jego państwowotwórczej roli.

Czytelnik książki powinien wziąć w nawias całą tę listę inwektyw i śledzić argumentację autora, a opiera się ona na przeciwstawieniu dwóch typów idealnych – jednym jest nacjonalizm, czyli teoria uzasadniająca państwo narodowe jako podstawowy i optymalny byt polityczny, drugim zaś imperializm, czyli teoria mówiąca o szerszych konstrukcjach politycznych takich jak imperium czy wielonarodowa federacja.

Atak na państwo narodowe nasilił się szczególnie w ostatnich dwóch dziesięcioleciach w Europie, kiedy próbuje się podważyć jego rolę, a niekiedy nawet wyekspediować je na śmietnik historii. Wydaje się, że wcześniej takie tendencje były mniej wyraźne. Kiedy po obaleniu komunizmu powstał pogląd, że w świecie zachodnim zapanuje niczym niekontestowana liberalna demokracja, to dla wielu, zwłaszcza w społeczeństwach od komunizmu wyzwolonych, było oczywiste, że będzie to świat współpracujących ze sobą – w sposób bardziej lub mniej ścisły, bardziej lub mniej sformalizowany – państw narodowych. Jeśli retoryka końca historii miała jakiś sens, to właśnie taki: wyobraźnia

*Pojęcia nacjonalizmu używa autor w sensie klasycznym, to znaczy wywodzącym się jeszcze ze starożytności grecko-rzymskiej oraz Starego Testamentu, a mówiącym o obiektywnej granicy rozszerzania organizmu politycznego*

polityczna nie wykroczyła poza porządek liberalno-demokratyczny, a zatem ufano, że następuje era swobodnego rozwoju państw narodowych, którym ów porządek na taki swobodny rozwój pozwala.

Ale ani wyobraźnia polityczna, ani praktyka nie poszły tym tropem. Okazało się, że nastąpiła era globalnych czy kontynentalnych konstrukcji. Karierę zaczęły robić takie pojęcia jak global governance czy European governance, które wskazują na taki właśnie kierunek zmian i taki plan budowania struktur politycznych. Najbardziej znanym i Polaków najbardziej obchodzącym przykładem jest oczywiście Unia Europejska i jej instytucje, które w szybkim tempie zaczęły przejmować – prawem lub lewem, a częściej lewem – kompetencje państw narodowych. Natura i sposób funkcjonowania takich ponadnarodowych struktur nie została jeszcze wystarczająco zbadana i opisana. Hazony słusznie zauważa, że w Europie ta skłonność federalistyczna – jeszcze na poziomie koncepcyjnym – istniała od początku integracji europejskiej. Cytuje on, na przykład, zdanie Konrada Adenauera pochodzące jeszcze z wczesnych lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, że pokój w Europie i trwała współpraca mogą być możliwe tylko przez wzięcie państw narodowych, który to proces – uważał ów polityk – miał się już wtedy zacząć.

I dziś wielu, a nawet bardzo wielu patrzy się na te zmiany jak na konieczność dziejową, tak jak patrzono kiedyś na tzw. wspólnotę państw komunistycznych jako na efekt logiki historii. Ale nie mamy tutaj do czynienia z quasi-heglowskim czy quasi-marksowskim determinizmem dziejowym, lecz z projektem politycznym, który jest realizowany, często dość brutalnie, przez niektóre partie polityczne, rządy, korporacje czy instytucje międzynarodowe. Bezwzględność w urzeczywistnianiu tego projektu w Europie nie została niestety jeszcze wystarczająco opisana, a wiedza na ten temat wystarczająco rozpowszechniona.

*Hazoni słusznie zauważa, że w Europie ta skłonność federalistyczna – jeszcze na poziomie koncepcyjnym – istniała od początku integracji europejskiej*

Cokolwiek dobrego można by powiedzieć o ściślejszych mechanizmach międzynarodowej kooperacji takich jak swoboda przemieszczania i handlu, projekt

zmierzający do ubezwłasnowolnienia państw narodowych przez instytucje unijne i rozmycia narodowych tożsamości w nowej tożsamości unijnej jest szalenie niebezpieczny. Jest to właściwie plan gigantycznej inżynierii społecznej, zagrażający odebraniem człowiekowi tych wszystkich zdobyczy, jakie zyskał w dobrze zarządzonych państwach narodowych, a jakie Hazoni elokwentnie i precyzyjnie w swojej książce opisuje. Tych zdobyczy wielkie struktury nie są w stanie zagwarantować ani rozwinąć, a jest spore prawdopodobieństwo, że je zmarnotrawią.

Państwo, jak czytamy w książce, nigdy nie jest i nie może być neutralne, bo ma swoją tożsamość czy swój charakter ograniczony przez historyczne i społeczne treści. Nawet patriotyzm konstytucyjny nie jest jedynie lojalnością wobec konstytucji, lecz tego wszystkiego, co sprawia, że ów dokument przyjmuje się jako swój własny i odzwierciedlający część nas samych. Tworzenie nowego patriotyzmu globalnego czy kontynentalnego jest więc przedsięwzięciem w samej swojej istocie absurdalnym, bo jest stwarzaniem czegoś, czego stworzyć się nie da.

Z książki Hazony'ego wynika, że wady federalizmu czy imperializmu jako przeciwieństwa nacjonalizmu wynikają nie tylko z błędu konstrukcyjnego, lecz – używając znanego określenia Jana Pawła II – z „błędu antropologicznego”. Człowiek jest istotą społeczną, rodzinną, rozwijającą się przez silne więzi ze swoimi bliskimi, a także ze wszystkimi, z którymi poczuwa wspólnotę miejsca, historii, symboliki, kultów, przekonań. Człowiek, mówiąc inaczej, zwykle dąży do swoich. Albo cytując sławne zdanie Arystotelesa, „kto nie potrafi żyć we wspólnocie albo jej wcale nie potrzebuje ... jest albo zwierzęciem, albo bogiem.”

Dzisiejszy świat oferuje wiele sposobów, by tę prawdę o człowieku zrelatywizować lub ukryć. Rozwój technologiczny, nowe formy komunikowania i tworzenia związków towarzyskich, globalne sieci współpracy: to wszystko może dawać złudzenie, że jesteśmy w świecie płynnym – by zacytować frazę Zygmunta Baumana – i możemy sobie dowolnie konfigurować nasze otoczenie. Jest oczywiście jakiś element prawdy w tym, że poziom rozwoju technologicznego ma wpływ na

struktury społeczne i sposób myślenia. Tak było zawsze. Ale od tego twierdzenia do tezy o zastępowaniu państwa narodowego strukturami szerszymi droga jest daleka i pokrętna.

Rozmywanie tożsamości i lojalności nie prowadzi wcale do zwiększenia naszych możliwości rozwojowych, ani u jednostek, ani w strukturach politycznych. Zwracam uwagę na słowo cnota, które pada u Hazony'ego, również w tytule.<sup>1</sup> Wprawdzie autor przede wszystkim używa tego pojęcia w sensie „pozytywu”, czy, jak się kiedyś mówiło, „przewagi” i stosuje je do państwa narodowego, ale warto też pamiętać o innym sensie tego pojęcia pochodzącego ze starożytności. Oznacza ono sprawności moralne i polityczne człowieka powstałe z uczestnictwa w życiu zbiorowym i internalizacji dobrych nawyków regulujących nasze zachowania. Warto więc i tu przypomnieć Arystotelesa oraz jego pogląd o uczestnictwie w życiu wspólnotowym jako warunku kształcenia cnót.

*Rozmywanie tożsamości i lojalności nie prowadzi wcale do zwiększenia naszych możliwości rozwojowych, ani u jednostek, ani w strukturach politycznych*

Oczywiście, w kształceniu cnót bierze udział wiele innych elementów, często przygodnych, trudnych do zidentyfikowania i odtworzenia, lecz nie ulega wątpliwości, że

lepszym dla nich środowiskiem jest państwo narodowe niż ponadnarodowa struktura. W Unii Europejskiej, by dać przykład, kształcenie cnót w ogóle nie jest możliwe, bo nie tylko jest ona zbyt duża i bezosobowa, ale przede wszystkim pozbawiona elementu

odpowiedzialności. To też jest skutek „błędu antropologicznego”. Podejmowanie decyzji dotyczących krajów, których się nawet nie zna, wobec których jest się obojętnym i przez które nie jest się rozliczanym, nie może w żaden sposób podnieść jakości życia politycznego, lecz nieuchronnie ją obniża. Kto patrzy więc z nadzieją na dobroczynny wpływ Unii na kształt życia w krajach członkowskich, ten popełnia błąd. Materiał rozbijający tę nadzieję jest już dziś nadto obfity.

Książka Hazony’ego to głównie obrona pewnej koncepcji politycznej, lecz zawiera ona także wątki historyczne dotyczące, na przykład, religii. Trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro naród z samej swojej istoty jest bytem istniejącym w historii i z niej wywodzącym swoje siły, a także słabości. Autor stawia tezę, że w świecie chrześcijańskim katolicyzm raczej sankcjonował struktury imperialne, natomiast państwa narodowe utrwaliły się dzięki reformacji, a właściwie dzięki porządkowi powestfalskiemu, który nastąpił po zakończeniu wojny trzydziestoletniej.

Z jednej strony, Hazony ma rację, że Christianitas zachowywała względną jedność dzięki katolicyzmowi. Oczywiście, nie była ona imperium czy federacją, lecz kierowała umysły ludzkie ku jakiejś formie jedności nie tylko duchowej i doktrynalnej, lecz także politycznej. Na temat relacji między Państwem Bożym a Państwem Ziemskim istnieje w tradycji katolickiej bogata literatura. W wyniku reformacji powstały kościoły narodowe, które wzmocniły, a może raczej przyspieszyły formowanie się państw narodowych. Ale w tym procesie obserwujemy paradoks. Teorie polityczne powstałe w krajach protestanckich takich jak Anglia stworzyły koncepcje umowy społecznej, a więc porządku politycznego, który był maksymalnie odarty ze wszystkich treści historycznych i został stworzony w wyniku kalkulacji czy logiki decyzji. W ten sposób przewrót protestancki wprowadził do zachodniej polityki

koncepcję konstruktywistyczną, z której wynikało, że państwo można wymyślić i skonstruować zgodnie z regułami domniemanego kontraktu. Było to, oczywiście, całkowite zanegowanie narodu jako wspólnoty historycznej.

*Książka Hazony'ego to głównie obrona pewnej koncepcji politycznej, lecz zawiera ona także wątki historyczne dotyczące, na przykład, religii*

Z drugiej strony, w rzeczywistości powestfalskiej katolicyzm okazał się siłą dość skutecznie podtrzymującą tradycje narodowe, ponieważ – w przeciwieństwie do

protestanckiego fideizmu i zasady sola scriptura – zawsze podkreślał rolę tradycji, i to nie tylko jako czegoś bliskiego naturalnym odruchom człowieka, lecz jako przekaziciela mądrości. Stąd katolicy broniący swojego Kościoła nie bronili tylko swojej religii, papieża i Christianitas, lecz także swojej wspólnoty narodowej, z którą ta religia była złączona. Polska jest tutaj przykładem dobitnym. W jej historii obrona narodu i jego suwerenności zawsze łączyła się z obroną religii katolickiej, a w świątyniach katolickich patrioci znajdowali azyl i wsparcie.

Obroncy dzisiejszego imperializmu czy federalizmu twierdzą, że słabnięcie więzi narodowych oraz religijnych jest czymś w rodzaju pozbycia się sztucznych kostiumów, po którym następuje wejście w świat ludzi wolnych swobodnie dysponującymi swoimi prawami, świat prawdziwej niczym nie skrzepowanej różnorodności. W istocie jednak oznacza to wielkie ujednoczenie. Narody i religie czyniły świat bogatym, pełnym odmienności, czerpiącym obficie z ludzkiego

doświadczenia zgromadzonego w dziejach. Gdyby miała się zrealizować strategia imperialistów i federalistów, oznaczałoby to, że staczamy się w rzeczywistość coraz bardziej jednorodną, monoideologiczną i reglamentowaną. To wielkie niebezpieczeństwo, bo przypomina budowę nowego wspaniałego świata.

Dzięki takim autorom jak Yoram Hazony oraz dzięki takim książkom jak *Pochwała państwa narodowego* widzimy jaśniej to niebezpieczeństwo. Przede wszystkim jednak, widzimy także, jak wiele zawdzięczamy państwu narodowemu i jak zwodnicze są racje tych, którzy albo skazują je na wymarcie wyrokiem historii, albo starają się je unicestwić brutalną polityką imperialną.

*Ryszard Legutko*